O RÓŻNOŚCIACH
CZĘŚĆ 18

Czepiam się teraz nauk. Coś tam już o nich wiem, ale warto moją wiedzę uaktualnić. Są nauki zaliczane do ścisłych. Nie będę ich tu wymieniał. Jeśli tak, to muszą też być nauki nieścisłe, no bo jeśli coś jest dla przykładu śmieszne, to musi też być nieśmieszne. Ciekawe, co Google o nich sądzi. Są. Też ich nie wymieniam. Im dalej brnę w ścisłość i nieścisłość, sprawa się gmatwa do tego stopnia, że staje się niezrozumiała. Być może, tylko dla mnie, a nie dla innych. Wybieram z ciekawości medycynę. Ta okazuje się i ścisłą, i nieścisłą. Do wyboru. Nic specjalnego w tym rozróżnieniu bym nie widział. Jest podobna, a nawet taka sama jak człowiek: i dobry, i zły w jednym. A może i medycyna jest dobra i zła. Tutaj zaraz ciśnie się na myśl pytanie. Która? Konwencjonalna czy niekonwencjonalna. Niby powinna być jedna, ale w mediach funkcjonują dwie. Według zwolenników konwencjonalnej ta druga jest zła, a ich dobra, bo oparta na dowodach naukowych, a według „niekonwencjonalnych" czasami zwanych też „alternatywnymi", to ta pierwsza jest do niczego. I następuje okładanie się na oślep. Jedni mówią o drugich, że to pseudomedycy bądź paramedycy, a ci z kolei odwzajemniają się nazywaniem oponentów pseudonaukowcami bądź konserwatystami. Szaraki, inaczej mówiąc, zwyklaki patrzą na te „pokazy siły" z politowaniem i już mają wszystkich powyżej uszu, oczu a także czubka głowy. Co mają robić? Stawiają na jednych lub na drugich. Ryzykują. Taka jakby ruletka. Udowadnianie przewagi jednej nad drugą jest odbierane przez pacjentów negatywnie. Dlaczego rywalizują między sobą? Powinni współpracować. Nie da się, nie potrafią. Pacjenci krążą od jednej medycyny do drugiej. Jak nie pomogą ci z pierwszej medycyny, to lecą do tych z drugiej. Takie bieganie w jedną i w drugą stronę zdaje się nie mieć końca. Wzajemne oskarżenia nie świadczą dobrze o obu. Szczególnie reprezentanci medycyny konwencjonalnej są niemal zacietrzewieni w dyskusjach z tymi drugimi. Oni mają rację i koniec. Druga strona nie ma nic do gadania. Czytając argumenty jednej i drugiej, jestem, delikatnie mówiąc zniesmaczony. Dla dobra pacjentów trzeba współpracować, a nie rywalizować o to, kto ma rację. Prawdą jest, że tzw. leki działają obosiecznie. Ludzie mają poważne opory w ich przyjmowaniu. Nie wynika to z ich głupoty, jak to przedstawiają medycy konwencjonalni, czyli jakby prawdziwi. Nie ma rzetelnej informacji o skutkach leczenia wielu chorób, np. raka. Walą w chorych chemioterapią, która raz pomaga, a raz nie. Kłócą się już nie tylko te dwie medycyny, co już samo w sobie jest zastanawiające, ale do tarć dochodzi wewnątrz. Np. w tej konwencjonalnej medycynie przykładem jest leczenie boreliozy i wielu innych chorób. Są tak zarozumiali, że nie odpowiadają na wiele pism do nich skierowanych o zmiany w leczeniu. Dlaczego lekarze nie przyznają się do tego, że nie potrafią leczyć chorób przewlekłych? Jeśli już nie potrafią, to niech pacjentom to powiedzą i odeślą gdzie indziej. Ci często doskonale ich odgadują i uciekają w inne sposoby leczenia. Lekarze krytykują stosujących inne metody lecznicze, a sami popełniają liczne błędy. Nie myślę o operacjach, podczas których sporo pacjentów umiera bądź jest okaleczonych, ale o diagnostyce, która jest jej piętą achillesową. Poszkodowanych w wyniku nietrafionych rozpoznań chorób jeszcze nikt nie oszacował i nie zdoła. Na razie konwencjonalni i niekonwencjonalni wytykają sobie wzajemnie różne „niedoskonałości", których policzyć w miarę dokładnie nie potrafią.

Winien jestem napisać krótkie wspomnienia o krewnych, znajomych, koleżankach i kolegach, których poznałem w różnych okresach mojego życia. Przygotowując zdjęcia do archiwum rodzinnego z czasów przedwojennych i wojennych, znajdowałem na nich wujka Antoniego Brodę. To brat mamy parę lat młodszy. Mieszkał w Legnicy już przed wojną. Na zdjęciach sprzed 1945 roku to chudzielec, a już w latach siedemdziesiątych spory pulchniaczek. Ponieważ wzrostu był niewielkiego, więc wyglądał na „bardzo zaokrąglonego". Mama mi opowiadała, że podczas wojny i w czasach stalinowskich tata jeździł do niego i tam gdzieś pracował. Wujo też przyjeżdżał w tym czasie do Krotoszyna. Pamiętam pobyty u niego w latach studenckich i późniejszych. Miał żonę znacznie wyższą. Mieszkali w starej, secesyjnej chyba kamienicy. Pokoje bardzo wysokie, duże, ale wychodki na półpiętrze. Nie mieli potomstwa. Adoptowali dziewczynkę. Tak się złożyło, że miała dwie siostry. Ja natomiast znałem z czasów wrocławskich Janusza, geografa. Ożenił się wkrótce z jedną z nich i zamieszkał w Katowicach, podobnie jak ja, na osiedlu Paderewskiego. Wspominam o tym dlatego, że wujek Antek przyjeżdżał do nich. Bywałem u Janusza i widziałem pięknie urządzone mieszkanie, rękodzieło wuja, który był znakomitym, przedwojennym stolarzem. W Legnicy miał warsztat. Podczas pobytu u Janusza wpadał też do nas, do Ligoty. Wspomnieniom nie było końca. Opowiadali o przedwojniu z moimi rodzicami i późniejszych czasach. Panowie za kołnierz nie wylewali, więc miło było przysłuchiwać się tym rozmowom. Pozostały tylko nieliczne fotografie wówczas przeze mnie zrobione. Acha! W czasie jednego z pobytów w Legnicy zapytałem go o okolicznościach, w jakich zginął jego i mamy ojciec. Odpowiedział, że pod Verdun, gdzie walczył w wojsku niemieckim. Szukałem niedawno cmentarza, na którym mógł być pochowany, ale nie dałem rady. Czas leciał, aż wreszcie dowiedziałem się o zgonie wujka Antka w Legnicy, w wieku bodaj 76 lat. Pojechałem na pogrzeb. Był też Janusz i rodzina jego żony. Ciocia, jeszcze sobie pożyła, ale daty i miejsca jej śmierci nie odnotowałem.

Wiosna 1975 roku. Umowa na prowadzenie badań wykopaliskowych w tym roku nie została przedłużona. Mieszkając w Strzelcach Opolskich, musiałem znaleźć jakąś pracę. Kolega Bronek, elektryk, zaproponował mi zatrudnienie w jego brygadzie jako betoniarz. Akurat w pobliżu miasta budowano cementownię. Praca na zmiany. Były 3 brygady 5–6-osobowe. Czy dam sobie radę? Spróbuję. Załatwiłem wszystkie formalności. Były drobne kłopoty, ponieważ musiałem mieć zgodę z Urzędu Powiatowego. Byłem po studiach, a to praca fizyczna. Argumentowałem, że w Strzelcach Opolskich nie mogę znaleźć pracy w swoim wyuczonym fachu i bumagę dostałem. Przez parę miesięcy dowożono nas na plac budowy o różnych porach. Nie będę rozpisywał się o mojej tam pracy. Wybieram tylko kilka „obrazków" z wielu zapamiętanych. Pierwszego dnia koledzy oprowadzili mnie po swoim „królestwie", które stało się też na jakiś czas moim. Nasze brygady zajmowały się produkcją betonu. Duża hala, a w środku, o ile dobrze pamiętam, dwie tzw. tysiączki. Chodziło chyba o pojemność wytwarzanego przez nie betonu. Posadzili mnie w kabinie. Przede mną tablica, na której było ponad 30 przycisków. Cóż, trzeba się było jakoś połapać, które do czego służyły. Huk spory, podjeżdżają betoniarki do załadowania. Nie można było się pomylić, tzn. wcisnąć nie ten guzik co trzeba. Z tym różnie bywało. Kilka dni „szkolenia" i zostawałem często przy pulpicie sam. Najgorsze były rozmaite awarie.
Oczywiście trzeba było, jak to w brygadzie, robić też inne rzeczy. Przykładowo czasami psuły się taśmociągi. Taśma się zatrzymała, a piasek sypał się na nią i wokół w dalszym ciągu. Dotarcie do miejsca awarii w podziemnym tunelu trochę trwało, a odgarnianie piasku łopatami znacznie dłużej. Nie zapomnę nocy spędzanych w drugiej kabinie. Zdarzały się dłuższe przerwy, czasami jeden z nas ładował betoniarki, a my, korzystając ze zmniejszonego ruchu, ładowaliśmy się do wolnej kabiny, aby się zdrzemnąć na przysłowiową godzinką. To był koszmar. Nie było wtedy żadnych ochronnych nauszników. Na koniec wspomnę o konflikcie dotyczącym wypłat. Były trzy brygady pracujące na akord. Jakoś tak się złożyło, że nasza miała najlepsze wyniki, a wszystkim płacono jednakowo. W końcu zbuntowaliśmy się. Doszło do ostrej dys-

kusji z kierownikiem, jednak nic nie wskóraliśmy. Przekonywali dosyć dziwnie. Według nas akord to akord i koniec. Taka postawa szefostwa nie mobilizowała do lepszej pracy, więc już się nie wysilaliśmy.

Poszukiwania raju trwają, tak jak wielu innych „rajów". Gdzie był? Według Biblii gdzieś na Wschodzie. Teorii jest wiele. Przytoczę te zapamiętane. Kiedyś najbardziej popularna głosiła, że między Eufratem i Tygrysem. Może i był tam raj, ale nie wiadomo, kiedy. Dzisiaj już chyba z niego niewiele zostało. Przypuszczają też, że może pochłonęły go wody Zatoki Perskiej. Innym się przywidziało, że w Jerozolimie na Wzgórzu Świątynnym. A jeszcze inni dowodzą, żeby nie powiedzieć święcie w to wierzą (jak każdy w swoje przywidzenia), że to w kolebce ludzkości – w Afryce, parę milionów lat temu. Może to w Republice Południowej Afryki. A może trochę na północ, na Pustyni Kalahari. Dopowiem, że do dzisiaj nie wiemy, skąd ludzie pochodzą. Liczą, że DNA ten problem rozwiąże. Są też ostatnio wskazania na tureckie obszary (Göbekli Tepe). Ale to raczej moim zdaniem mrzonka. Niektórzy już dawno temu, podaję tak dla ciekawości, wymyślili, że raj był na Biegunie Północnym. Tam było ciepło i zielono, więc na pewno tam. Każda z tych teorii uważana jest przez ich autorów za jedyną prawdziwą. Mormoni też jakąś teorię wypichcili, ale już nie będę ciągnął ich i dalszych bajań. Zastanawiam się, czemu ludzie się tak interesują takimi hipotezami. W przeszłości ktoś tam coś napisał, żeby nie powiedzieć bąknął, coś mu się wymsknęło. I zaraz obecni mądrale wyciągają, jak z lamusa, te wizje, kręcąc jeden film za drugim (to już tysiące), pisząc książki zawalające półki, o przekazach ustnych nie mówię, bo na te powołuje się wielu wyjaśniających wszystko co tajemnicze.

Tak to cały czas było. Zmieniał się ustrój, zmieniała się władza na wszystkich szczeblach. W ślad za tymi zmianami zmieniano niemal wszystko, nazwy, ulice, pomniki, urzędy, instytucje itp. i oczywiście przede wszystkim ludzi, którzy jej bruździli. Tworzono „nowe", rzekomo lepsze od „starego". Czymś się musieli „zmieniający" wykazać. Żeby tylko zmieniali szyldy. To za mało. Trzeba było dezorganizować, likwidować, żeby tylko udowodnić „swoje". Wyciągnąć je na wierzch, a tamto przykryć możliwie grubą warstwą kurzu. Nie ocalić od zapomnienia, tylko wymazać z pamięci. A ile się przy tym wszyscy pragnący być na wierzchu namęczyli, żeby jakiś oddech złapać. Większy czy mniejszy, to nieważne. Na krótko czy długo, to też nie miało żadnego znaczenia. Jak był głęboki, to można było dociągnąć do końca żywota. Niektórzy wdychali, co się dało, po parę razy. Byle na wierzchu, a jakby się udało innym przyłożyć, to radość byłaby ogromna. Zmieniali, usuwali, niszczyli, a później przechodząc w stan spoczynku, bo kiedyś musiał nadejść, mieli odpłacane za nadobne. I wtedy narzekali. No, ale czasami to „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie". Więc nie mogą mieć do nikogo pretensji.

Jest 5 września 2025 roku. Wczoraj zaglądałem wieczorem do serwisów pogodowych. Wszędzie na mapach słoneczka na cały dzień. Podjąłem decyzję. Jadę na zamki w Bobolicach i Mirowie. Wstaję rano, spieszę się i wychodzę o 6.15 na tramwaj. Nie miałem już czasu sprawdzać ponownie, jaka będzie pogoda. Prognoza z wczorajszego wieczoru, najświeższa, była jednoznaczna. Wpadam do tramwaju, ale coś za dużo chmur na niebie. Nie tak miało być. Rozglądam się z obu stron i na trzecim przystanku wysiadam, wracam. To nie ma sensu. Szkoda mojego czasu. W domu na mapach króluje słońce, a nade mną prawie same chmury. Zaglądam o 9.00. inny obraz. Zamiast samych słoneczek, same chmurki. O 11.00 też. Na jednej z witryn przynajmniej napisali: rosnące zachmurzenie. Innych nie przytaczam, bo na każdej co innego. Nawet burza przewidywana w południe. Rozstrzał przepowiedni niemal bezgraniczny. Przepowiadanie pogody to rzecz ważna z wielu punktów widzenia. Przedstawię tu mój. Nie wiem, jak bywało w starożytności, ale sądząc po dzisiejszych prognozach, gorzej być nie mogło.

Może dominowały wróżby, ale były one bardziej skuteczne niż dzisiejsze samochwalstwo meteorologów o wynikach swoich dociekań pogodowych i wykorzystywaniu najnowszych osiągnięć techniki. Obecnie chwalą się niezliczonymi już analizami i symulacjami, a moim zdaniem to raczej blisko im do zgadywanki. Do tego mówią jeszcze o ich dużej niezawodności. Tego już nie mogę strawić. Wszystko, co pokazują na mapach pogodowych dnia poprzedzającego, nijak się ma do dzisiejszego. Gdyby przedstawili mapy np. z tygodniowym wyprzedzeniem z ich propozycjami czy, nazwijmy je, symulacjami, a po tygodniu porównali te sprzed tygodnia (ich prognozy) i te po tygodniu (jak rzeczywiście było), to najczęściej mają się one jak pięść do nosa. Czasami im się uda, jak ślepej kurze ziarno. Pogoda gra jak do tej pory z wszystkimi meteorologami, bo oni się nią parają, w ciuciubabkę. Łatwiej im powiedzieć, jak było, niż jak będzie. Dezorganizują swoimi przewidywaniami, uważanymi za naukowe, moje plany. Zdarzają się takie dni, wcale nierzadko, że wstaję rano, patrzę na mapy (już pomijam to, że są różne), porównuję z satelitarnymi i ruszam gdzieś, bo niby ma być bezchmurnie, a tu chmur coraz więcej i muszę wracać. Jedyne co pewne to mają coraz doskonalszy wgląd w pogodę, jaka była, a nie jaka będzie. Nie będę czekał, aż słońce za godzinę zza chmur wyjdzie, albo wcale. Tak często bywało. Nie muszę chyba nadmieniać, że słońce jest ważne nie tylko dla fotografujących. I innym też dezorganizuje plany. Ale to już inna para kaloszy. Dla mnie jedno jest pocieszające, optymistyczne. Przyroda trzyma się dzielnie i nie da sobie w kaszę dmuchać. Tak trzymać, nawet kosztem moich perypetii z pogodą.

Na monitorach w tramwajach i autobusach wyświetlane są różne wiadomości. Nie trzymając w ręce smartfona, bo go w ogóle nie posiadam, zacząłem się gapić w górę. Po pewnym czasie czytam pod przesuwającymi się obrazkami: „Bądźmy wyrozumiali, ustępujmy miejsca". Do tej pory nic takiego nie widziałem ani w telewizji, ani na billboardach, ani w gazetach, ani nie słyszałem w radiu. Może coś przeoczyłem? Przemieszczają się kolejne napisy i tak sobie pomyślałem: Kto je czyta? Czyżby tylko takie staruszki jak ja? Rozejrzałem się. „Pochylone głowy" wiadomo, w co patrzą, a te informacje są chyba dla nich przeznaczone, a nie dla takich jak ja. Wyświetlanie ich na monitorach podwieszonych do sufitu w środkach komunikacji miejskiej na niewiele się zda. A tak prawdę mówiąc, nawet gdyby tam spojrzeli, szybko by o nich zapomnieli, co wszystkie starsze osoby widzą i doświadczają podczas codziennych jazd. Słychać jeszcze życzenia przyjemnej podróży, a ta, jak widać, dla wielu staruszków przebiega na stojąco. Ostrzegają ich, i słusznie, na wyświetlanych informacjach, aby trzymali się mocno, czego się da. Dodam tylko, że od jednej z sąsiadek dowiedziałem się, iż nasz wspólny znajomy, którego od dłuższego czasu nie widziałem, zszedł w ten sposób z tego świata. Podczas mocnego hamowania przewrócił się, mocno potłukł i zabrany do szpitala już do domu nie wrócił. Miał 87 lat.

Znowu muszę wrócić do określenia „Dziwny jest ten świat", tytułu znanego przeboju Czesława Niemena. Jeżeli Niemenowi w 1967 roku świat wydawał się dziwny, to jaki jest teraz? Przy okazji wysłuchałem teledysku z tą piosenką i przejrzałem nieco komentarzy internautów. Twórca napisał: „ludzi dobrej woli jest więcej". Doskonale te czasy pamiętam. Czy coś się dzisiaj zmieniło? Tak. Poszło nie po myśli Niemena. Ludzi dobrej woli jest coraz mniej, a kończące tekst słowa „Najwyższy czas nienawiść zniszczyć w sobie" to były tylko pobożne życzenia. Dziś już mało używa się słowa „nienawiść", powszechne stało się „hejt". Nienawiść gorzej brzmiało, więc zamienili je na lepsze określenie. Porównałbym taką zmianę do podobnej, czyli staruszka na seniora.

Czyszczenia ciąg dalszy. Czyści się już bowiem wszystko. Daleko mi do czyścioszka. Ale lubię ich. A jeszcze bardziej o nich paplać. Teraz o czyścioszkach czyszczących siebie dla rozróżnienia od tych, którzy czyszczą innych. No to czyścioszki na start. Walczcie do upadłego z wszelakimi paskudztwami, które chcą was wykończyć czasami już zewnątrz, nie mówiąc o tych, które

chcą dostać się do środka i zagnieździć najlepiej na stałe. A więc myjcie się 20 razy dziennie, skórę, zaraz potem obkładajcie dziesiątkami kremów, maści, psikajcie dezodorantami i innymi już nie do podliczenia środkami dezynfekcyjnymi ku radości i chwale je produkujących. Po co? Aby ją do cna wyjałowić. Jak już wnikną do wnętrza, to ładujcie leki, aby jedne „wykurzyć" i dać miejsce innym (to dla tzw. lekomanów pochwalanych przez naukowych ekspertów).

Moda na przesłuchiwanie jednych przez drugich nie wygasa, nie przemija. Na ogół rządzący chcą przesłuchiwać rządzonych. Po co? I tak prawdy się nie dowiedzą. Kto byłby taki głupi i szastał prawdą? Ponieważ jedni drugim mącą, więc to się nie skończy. To taka gra na wyczerpanie. Ale jeśli po jednej i drugiej stronie sami wytrawni kłamcy, no to szansa na to, by prawda ujrzała światło dzienne, jest znikoma. Proszę sobie przypomnieć, ile przesłuchań w Polsce było, ile komisji, i jakie były ich skutki. Pogadali sobie i rozeszli się do kolejnego spotkania. Wcale im się te zbliżenia nie nudzą, choć znają się przecież jak łyse konie. Czy Donald Tusk będzie przesłuchiwał Jarosława Kaczyńskiego, czy Kaczyński Tuska, to na jedno wychodzi. A już przesłuchiwanie prawników przez prawników to zabawa na sto dwa, albo jeszcze lepiej, ubaw nieziemski.

„Plagiatowcy" już od pewnego czasu mają się dobrze. Czerpią z tekstów zamieszczanych w przepastnym Internecie, a też z innych źródeł, ile wlezie, naruszając prawa autorskie innych. To już plaga. A może nawet pandemia. Nie chce im się myśleć, no to ściągają na tzw. żywca. Zresztą po co się wysilać, skoro już wszystko zastało napisane. Szkoda czasu na dumanie. Próba udowodnienia im tego procederu jest utrudniona z wielu powodów, zawiła do granic. Wkroczyli w to prawnicy i zaraz zaczęły się spięcia. To jedni plagiatowcy bronią sobie podobnych. Dobre ci to.

Spiskowych teorii nie da się policzyć. Ciągnęły się od początku. Toż przecież już Ewa spiskowała z wężem przeciwko Adamowi. I to skutecznie. A może to wszystko było przeciwko Bogu, który ich stworzył? Skutki ponosimy do dzisiaj we wszystkich przejawach życia. To, że jakieś grupy łączą się i podobnie myślą o jakichś sprawach, wcale nie musi być uważane za spisek. Równie dobrze może być prawdą. Ta często wychodzi na jaw dopiero po latach, zadając kłam krytykującym antyspiskowcom. Tak to wszystko jest pogmatwane.

Tyle jest ekspertyz prawnych, ile diagnoz lekarskich. I jedne, i drugie bywają trafne i nietrafne. Konsekwencje ich nietrafności ponoszą klienci kancelarii prawnych i pacjenci. Trudno oszacować, których jest więcej. Jeśli są błędne, poszkodowani mogą się albo odwoływać bez końca, albo przyjąć z pokorą ich często opłakane, a nawet tragiczne skutki. Tyle, niestety tylko tyle, im zostaje.

To informacja internetowa: „Metropolia GZM udostępniła podróżnym nowy System Dynamicznej Informacji Pasażerskiej dla niemal 7000 przystanków". Informują także o działaniu wyświetlaczy dynamicznej informacji pasażerskiej zainstalowanych na przystankach. Widać tę dynamiczność w brynowskim Centrum Przesiadkowym, gdzie od wielu miesięcy tablice są nieczynne.

Ostatnio coraz częściej pojawiają się jako pilne informacje o podrywaniu samolotów bojowych w związku z różnymi zagrożeniami dla naszego kraju. Nie wiem, jak teraz, ale pamiętam bodaj w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku setki ostrzeżeń, którymi Chińczycy „obdarowywali" Amerykanów za naruszanie ich przestrzeni powietrznej. Było ich już ponad sześćset. Na ilu się skończyło, nie wiem. Ciekawe, czy my też do takiej liczby dojdziemy? Może ktoś wyliczy koszty takich poderwań?

Aby znaleźć się na tamtym świecie, muszę umrzeć. To nie tylko ja mam zapewnione. Ponieważ ciekawość to ponoć pierwszy stopień do piekła, więc za nią idę, ale powoli. Pośpiech jest niewskazany w takich sytuacjach. Decyzje ostateczne muszą być rozważne. Oto dosyć prawdopodobna moja przyszłość: Coś mnie zaczyna boleć. Ból znoszę dosyć dobrze, ale tym razem jest okropny. Mdleję na ulicy. Bierze mnie pogotowie i do dzieła przystępują medycy. Najpierw deliberują w dosyć szerokim gronie specjalistów, co robić, od czego zacząć. Zaczynają krajać i szukać przyczyn bólu, powodu mojego „wyłożenia się" na chodniku. Biorą się ochoczo do pracy, jako eksperci od tego typu wypadków. Tną i tną już dosyć długo, czas nieubłaganie leci, ja już porządnie rozdrobniony, aż tu znienacka wyskakuje krętek boreliozy. Pokazuje im gest Kozakiewicza i się chowa. Nic dla nich rewelacyjnego, bowiem jego charakterystyczną cechą jest melinowanie się w różnych zakamarkach ciała ludzkiego, aby od czasu do czasu dać swojemu żywicielowi „popalić". Tak mi właśnie dogodził. Póki co gra z nimi w ciuciubabkę, bo wie doskonale, że są bezradni w „wykurzeniu" go ze mnie. Całe to patroszenie ciągnie się wiele godzin i mam czas na przeniesienie się w rejony bardzo tajemnicze, do dziś intrygujące chyba wszystkich człowiekowatych. Wrażeń z pobytu tam nagromadziło się tak dużo, że nie mogę się z myślami pozbierać, a tym bardziej przelać je na papier. Spokojnie. Mam umowę z krętkiem, który dał mi jeszcze trochę czasu. Wie przecież o tym, że jak mnie załatwi, to sam padnie.

Niby tyle głów w Unii Europejskiej myśli. Brukselskie urzędy spuchnięte do granic możliwości. Wymyślono coś, co się w zwykłej ludzkiej „pale" nie mieści, a mianowicie, że wystarczy, aby tylko jeden z dwudziestu kilku jej członków zgłosił *veto* wobec jakiejś propozycji zmian i nie można niczego przepchnąć. To tylko jedna z głupot, która w wielu prostych rozwiązaniach paraliżuje jej działalność. Żeby samym sobie strzelać w stopy raz po raz? Często zdarza się, że spotyka się dwóch, nie mówiąc o trzech osobach, które pokazują ostatnie światowe wydarzenia, a do jakiegokolwiek porozumienia dojść nie mogą. Co tu więc mówić o jednomyślności wśród 27 państw członkowskich w szczególnie ważnych kwestiach. Ci prawnicy na najwyższym europejskim szczeblu, jak widać, mają głowy nie od parady. Bareja by tego nie wymyślił. Trzeba było rozumować i analizować tak zwyczajnie, po chłopsku, zdroworozsądkowo i ustalić jakiś procent głosujących w sprawie zmian, np. dziewięćdziesiąt i nie byłoby żadnego problemu. Jak te pojedyncze weta wpływają na, ogólnie biorąc, politykę Unii wszyscy widzą, a co myślą, szkoda gadać. Skutki odczuwamy wszyscy, no prawie wszyscy, ale w różnym stopniu.

17 sierpnia 2025 roku na jednym z portali internetowych przytoczono wypowiedź byłego już prezydenta Andrzeja Dudy: „Czy rzeczywiście jest tak, że ludzie prawie 80-letni powinni decydować o wszystkim i o losach Polski? Mam poważne wątpliwości". Podobno chodziło o Jarosława Kaczyńskiego. Pomyślałem sobie, dlaczego nie wyrażał w ten sam sposób swojego zdania co do rządzących innymi państwami, również w podeszłym wieku, a przesądzających o losach znacznie większych regionów, a nawet całego świata. Na takie uwagi pozwala sobie dopiero teraz, kiedy już nie ma nic do gadania, a tym bardziej do decydowania. Pachnie mi zakamuflowaną jak zazwyczaj rozgrywką polityczną.

Jak świat światem, z krytyką jesteśmy za pan brat. Potrafimy się jej oprzeć (to twardziele), niektórzy nie i wpadają w tarapaty (to mięczaki). Jeśli mięczak trafi na twardziela, nie ma szans. Czy ktoś obliczył, ilu ich jest? Jednych i drugich. Sztuczna inteligencja nie da sobie z tym rady. Mózgi są tak zróżnicowane, że wyróżnienie wśród miliardów dwunożnych istot ziemskich procentowego udziału „twardych" i „miękkich" jest niemożliwe. Można szacować, czyli podać liczby wyssane z palca. A jeszcze jest sporo takich pół na pół, co to raz są mięczakami, ale jak trzeba i ich ktoś wkurzy, stają się twardzielami. Społeczeństwa są mieszane. Nie

będzie dla nikogo zaskoczeniem stwierdzenie, że twardzieli jest mniej niż mięczaków. Gdyby było ich więcej, tobyśmy już dawno wymarli, czyli pozabijali się. Wynika z tego, że ludzkość mogła przetrwać dzięki mięczakom. Jedni powiedzą, że chwała im za to, a inni wyrażają niezadowolenie z tego powodu. Myślę, że cała pozostała część przyrody jest w tej drugiej grupie. W niej, wydawać by się mogło, jest odwrotnie. Po bliższym przyjrzeniu się jej widać wyraźnie, że tam też „silni" są w olbrzymiej mniejszości (można ich nazwać zabijakami) i żyją tylko kosztem ofiar (czyli słabeuszy). Jeśli w przyrodzie tak było od początku, no to my, z chwilą wejścia na areną dziejową, dopasowaliśmy się jedynie do zaistniałej sytuacji. W masie jednak, mimo zróżnicowania, staliśmy się zaraz niebywałymi krwiożercami, okrutnikami, oprawcami, rzeźnikami itp., jakich do te pory świat nie widział.

Przeglądając swoje archiwum, natrafiłem na katalog Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska, który zawiera kilka plików z internetowymi artykułami o jego działalności. Przejrzałem je, bo Centrum to po trosze bliźniacza instytucja utworzona w końcu 1992 roku, w tym samym roku co Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska. Obie zostały powołane przez ówczesnego wojewodę katowickiego Wojciecha Czecha. Wieloletnim dyrektorem pierwszej z wymienionych był dr inż. Jerzy Parusel. Instytucję zlikwidowano mimo protestów w 2022 roku. Utrzymała się i tak dłużej niż wspomniane Centrum Dziedzictwa Kulturowego. Nie waham się w tym miejscu napisać, że była to zupełnie nieprzemyślana, absurdalna, ze wszech miar szkodliwa, kuriozalna, idiotyczna decyzja katowickich urzędników, której skutki będziemy na Górnym Śląsku odczuwać jeszcze długo. Nie mam zamiaru analizować w tym miejscu jej działalności i osiągnięć. Z większą uwagą „przypiąłbym się" do urzędasów. Wiem tylko, że przyroda sama się nie obroni, jeśli o nią nie zadbamy, o czym świadczy jej coraz gorsza wytrzymałość na nierozsądne ludzkie postępowanie i pogarszająca się niewydolność. Mogę wiele o przyrodzie w Katowicach napisać z punktu widzenia jego mieszkańca wędrującego po mieście od prawie 10 lat, a znającego miasto od 70 lat. I z pewnością to uczynię w kolejnych częściach tej bądź innej z planowanych serii.

Nuda zżerała ludzkość od najdawniejszych czasów. Dzisiaj przybrała na sile. W XXI wieku osiągnęła szczyt. Jednym z przykładów są zajęcia, które można nazwać zabawami, a które uznano za dyscypliny sportowe. Różne mózgi wciągnięto w ich wymyślanie. Jedne od drugich głupsze i w związku z tym chętnie oglądane (nie mózgi, tylko zabawy uznane za sportowe). Bawić się można na wiele tysięcy sposobów. Jednak czy to zmagania sportowe?
Ledwo przebrnąłem przez kilka stron internetowych i stwierdziłem, że u podstawy klasyfikacji sportowej jest rywalizacja i ona posłużyła niektórym do zaliczenia do niej np. esportu. Sport, to jak widać, worek bez dna i wejdzie doń wszystko. To, że jedna partia rywalizuje z drugą o władzę to można taką rywalizację uznać za sportową? Czy ktoś uważa, że Kaczyński z Tuskiem rywalizują w sporcie? Nie będę wypisywał z tzw. sieci chyba już setek albo więcej dziwactw włączonych do sportu. Nawet szachów i golfa nie widzę w nim. Ślęczenie nad szachami czy machanie kijem golfowym zupełnie do mnie nie przemawia. Jako mały chłopak grałem w palanta, ale to była zabawa i nikomu nie przyszłoby wtedy do głowy, że to sport. Dzisiaj jest w zaniku, za to rozmaitej maści podobnych do palantów gier namnożyło się ponad miarę. Moim zdaniem zabawy po prostu pomylono ze sportem. Pogoń za serem po zboczu może być przednią zabawą, jak się ktoś nudzi bądź nie ma co innego do roboty, a nie dyscypliną sportową. Dotyczy to prawie wszystkich podobnych rozrywek, bo tak je można nazwać. Proponuję niektórym wyścigi ze ślimakiem. Będzie to godna ich rywalizacja i to bez specjalnego męczenia się.

Zacząłem czytać na początku sierpnia książkę dr. Petera Atti *Outlive. Żyć dłużej. Nauka o długim życiu w zdrowiu*. Jakież to tytuły wymyślają, aby zainteresować nimi innych i książkę

sprzedać najlepiej w wysokim nakładzie. Jakież one nośne (tytuły, a nie książki). Ta akurat zbyt ciężka, czyli gruba jak dla mnie. Pożyczyłem z biblioteki. Grubych nie lubię zanadto, ale szanuję. Zarówno autor, jak i jemu podobni podpierają się niemal już ubóstwianą nauką. Bez niej nic nie ruszysz. A jak ruszysz bez niej, to zaraz leżysz. Zatrzymałem się na stronie 39 i po parokrotnym jej czytaniu nie mogę zrozumieć, co autor chciał przekazać. A w zasadzie i rozumiem, i nie. On po tysiąckroć mądrzejszy ode mnie, a ja choćby z racji podeszłego wieku mało kumaty. Mimo to w swej naukowej naiwności postaram się dociec, o co mu chodziło. Wpisałem się tymi wywodami we współczesny trend zwany „Ja mam rację". Tylko ja i nikt więcej. Ależ sobie ulżyłem. To nic szczególnego. Świetny środek terapeutyczny w powszechnym stosowaniu. Będzie mi się lepiej spało. Jeszcze tylko magnezik i lulu. Na razie dobrze się wyspać, a to zdaniem naukowców służy wyłącznie zdrowiu. A więc żyć, nie umierać. Do następnej części. Może dr. Attia jeszcze w czymś mnie zainspiruje.

Wszystko polepszają. To co wpychają do żywności nazywają polepszaczami. Polepszają szczególnie pieczywo i do niego się tu ograniczę. Twierdzą, że wtedy będzie ono wysokiej jakości. Same zalety. Jaki kolor, wspaniały skład, a jakie pieczywo chrupkie, pulchne, a jaki smak, a zapach? Nie dodaję co zawierają i co poprawiają. Piekarze to fachowcy, wiedzą jak dogodzić zjadaczom chleba. Dobrze, że go nie jem.

Ileż to błędów człowiek popełnia. Życie bez nich jest niemożliwe. Błądzenie jest rzeczą ludzką. Na błędach przecież każdy się uczy. Czasami nie. Zdarzają się prawie codziennie. Czy można je policzyć? Komu by się chciało. Jedni błądzą całe życie, inni sobie lepiej z tym radzą. Co jest błędem, a co nie? To trudne do jednoznacznego rozstrzygnięcia. Dzisiaj coś było błędem, a później okazało się, że nie. Niektóre błędy powtarzamy. Jedne są grube, inne „cienkie". Niektóre są popełniane świadomie, tak jakby celowo. O wielu w ogóle nie wiemy. Nigdy by nam nie przyszło do głowy, że nimi były. Są tacy co je często popełniają, i tacy, którym przytrafiają się rzadko. Czy na błędy jest jakieś lekarstwo? Chyba nie. To tak jak z wypadkami. Nigdy nie wiadomo, kiedy nam się przydarzą. Według jednych coś jest błędem, a inni uważają, że nie. Nawet logiczne myślenie może doprowadzić do błędu, choć teoretycznie nie powinno. W zasadzie jesteśmy skazani na popełnianie błędów. Jeśli ktoś uważa inaczej, to jest w błędzie, no bo kto przynajmniej jednego błędu nie popełnił? Na podanie przykładów nie będę się silił. Każdy je doskonale zna. I te swoje, i innych.

Piszę ten fragment zaraz po przyjściu z antykwariatu katowickiego na ul. Mickiewicza 14 w lipcu tego roku. Może gdyby nie końcówka rozmowy z właścicielką, po której wyszedłem zaskoczony jej niegrzecznym zachowaniem, puściłbym pobyt tam płazem. W końcu czerwca przyniosłem do niej listę paru setek książek z prośbą o podkreślenie ją interesujących wraz z podaniem ceny, która mogłaby być po dostarczeniu książek do negocjowania. Wszystkie książki, około 30, zostały przyjęte. Oglądała je bardzo pobieżnie. 13 lipca poszedłem trzeci raz, ale nie było tej pani, tylko jakiś starszy pan. Powiedziałem, że mam listę przygotowaną z wykazem książek i wpisanymi obok tytułów cenami. Proszę pokazać. Pokazałem. Popatrzył i wskazał na pierwszą opisaną ołówkiem i rzekł: To nie jest pismo mojej córki. No to ja się pytam: a czyje? Po chwili poprosił o wyłożenie książek. Wyłożyłem najpierw chyba trzy egzemplarze. Popatrzył i powiedział 4 złote. Ależ ta książka została wyżej wyceniona przez pana córkę. Niech pan patrzy, jaka zniszczona. Nie była zniszczona, może trochę zakurzona. Takie były wszystkie poprzednie i stan zachowania żadnej z nich nie został zakwestionowany. Widząc, że nie dogadamy się, zapytałem, kiedy będzie córka. Jutro. To ja przyjdę jutro. I poszedłem. Przyniosłem je koło południa, wcześniej dzwoniąc, aby się upewnić, że będzie. Powiedziałem jej o zakwestionowaniu przez ojca jej pisma, co zbyła milczeniem. A poza tym – mówię –

ojciec zakwestionował cenę przez panią wpisaną, z powodu zniszczenia. Wyciągnąłem połowę książek (miałem ich około 16) zaczęła je przeglądać i nagle okazało się, że tak samo zachowane książki wcześniej wszystkie wzięła, a teraz zaczęła grymasić, że tę nie, tę też nie. Wtrącam, że poprzednio wszystkie tak samo zachowane, a nawet bym powiedział gorzej, wzięła, więc co się stało? Powiedziała, że nie będziemy w ten sposób rozmawiać, proszę sobie wszystkie zabrać. Spakowałem się i poszedłem. Jadąc tramwajem pomyślałem sobie, że miałem pecha, trafiając na jej ojca. Poprzednie 2 spotkania przebiegały w normalnej atmosferze, a teraz jakby w nią diabeł wszedł. Prawdopodobnie ojciec coś jej o mnie nagadał. Wyglądało, że z góry była nastawiona negatywnie na kupno tej partii książek. Lekkie zakurzenie to już dla niej zniszczenie, czego we wcześniejszych partiach nie uwzględniała, co jej przypomniałem. Tego mi już było za wiele. Jej arogancja i bezczelność wkurzyły mnie. Napomknąłem, że o tym spotkaniu dam informację na stronie internetowej. Usłyszałem, że mogę sobie napisać na Facebooku, gdzie chcę. No to napisałem.
Cóż. Parę uwag ogólnych. Katowice to nie jest miasto antykwariatów. Możemy mówić prawie o monopolu tego na ulicy Mickiewicza. Dyskusji o cenach nie było żadnej. Właścicielka je ustalała, a ja nie miałem nic do gadania. Przy zakwestionowaniu jednej z cen, zostałem zaraz sprowadzony na właściwe miejsce. Monopoliści zawsze dyktują ceny bez obawy o konkurencję. To jeszcze rozumiem. W związku z tym nie dyskutowałem o nich. Natomiast niegrzecznego zachowania się (to dosyć delikatne określenie) tej pani wobec mnie już nie. Tego nie mogłem akceptować ani darować, dlatego to spotkanie krótko na gorąco opisałem.

Oglądnąłem już tysiące programów, przeczytałem podobne liczby artykułów, rozmawiałem z różnymi ludźmi, już nawet nie wiem, ile razy o sprawach dotyczących przyszłości rodzaju ludzkiego. Nie ogarniam tego wszystkiego. Kto ogarnia? Widzę jedyne światełko w tunelu prowadzące nas do „nomalności". Nie pchać się do przodu, nie myśleć o wzroście, skończyć z konsumpcjonizmem. Jedyną drogą jest ograniczenie liczby nas samych. Polska jest tutaj wzorem. To chyba jedyna rzecz, za którą mogę pochwalić rodaków. Ograniczajmy rozmnażanie się. I idzie to w dobrym kierunku. Jedyna możliwość, aby się nie unicestwić. Im mniej nas, wszystkich ludzi na świecie, tym będzie lepiej. Nie słuchajmy różnych ekonomistów bajających o ciągłym wzroście i rozwoju, a zwłaszcza o tym ostatnio wymyślonym czyli zrównoważonym, bo to bujda. Problemy wszelkiego rodzaju w ich wprowadzaniu nie znikną.

Listy gończe, aresztowania, zemsty, kradzieże, przemoc, przestępstwa, znęcanie się nad innymi, też zwierzętami, handel ludźmi, bójki, zabójstwa, gwałty, morderstwa, rozboje, wykroczenia, deportacje, otrucia, oszustwa, samobójstwa, zamachy, donosy, pościgi. Nasza kochana policja, przez niektórych nie kochana, ma pełne ręce roboty. To tylko te fakty, co mi doraźnie do głowy przyszły.

Cóż z tego, że ma się swój pogląd. Jeśli będzie on inny, a może nawet zupełnie inny niż pozostałych, to cię zakraczą, a nawet zrobią z ciebie głupka. Najlepiej wyznawać poglądy „masowe", a więc takie, którymi większość została otumaniona. Łatwo było jej cokolwiek wmówić, przekonać ją, bo to ludzie mało myślący, nie zastanawiający się nad tym, czy ktoś mówił, czy pisał sensownie, czy nie.

Czy będzie III wojna światowa? Niektórzy mówią, że mur-beton. Inni, że pewne jak w banku. Też tak uważam, jednak co do drugiego zwrotu, to nachodzą mnie wątpliwości. Ostatnio dostałem z banku informację. Stawia na bezpieczeństwo. Ostrzega mnie i radzi, jak postępować przy pobieraniu gotówki z automatu. Daje wskazówki, jak się zachowywać przy automacie. Prawie zmusza się mnie, oczywiście dla mojego dobra, abym przed wybraniem gotówki przyglądnął się automatowi uważnie, czyli pomacał z zewnątrz i nawet pogmerał

w środku, sprawdził oświetlenie, szczelinę na kartę, klawiaturę, zasłonił ekran i klawiaturę itp. Mam też meldować o jakichkolwiek podejrzeniach. Te i inne przestrogi sprawiają, że nie mam poczucia, iż moje pieniądze w banku są bezpieczne. Przy tylu realnych zagrożeniach (a nie wymieniam wielu innych, np. fałszywych e-maili) określenie „pewne jak w banku" ma już tylko historyczne nawiązanie.

Kontynuuję wspomnienia o moim sprzęcie do odtwarzania i nagrywania muzyki w latach siedemdziesiątych. Cofnę się jeszcze do początku lat sześćdziesiątych, bo zapomniałem o odbiorniku Rozyna, z którego wkrótce po rozpoczęciu studiów w październiku 1963 roku usłyszałem informację o zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna F. Kennedy'ego w Dallas. Wynajmowałem wówczas pokój na wrocławskim Sępolnie. Bodaj w 1967 roku kupiłem Turandota, całkiem dobry jak na owe czasy odbiornik stereofoniczny z UKF. Nagrywałem ówczesne przeboje jeszcze na Melodię. Skończyłem poprzedni fragment na zakupie magnetofonu Grundig ZK 140 T. Taśmy do niego produkował gorzowski Stilon. Służył mi do 1. połowy lat osiemdziesiątych. Mam go do dzisiaj. Na te taśmy nagrywałem sporo audycji m.in. całą serię nagrań ulubionego Charliego Parkera *Wszystkie nagrania Charliego Parkera*, a później *Duke Ellington i jego muzyka* nadawane, o ile dobrze pamiętam, w programie III Polskiego Radia (audycje Henryka Zygmunta Cholińskiego). Czas leciał. Płyt winylowych przybywało. Szarpnąłem się w 2. połowie lat siedemdziesiątych na stereofoniczny gramofon „Fonomaster 76" (typ G–601A) z dwoma kolumnami głośnikowymi 20W. Jeszcze go używam. W końcu lat siedemdziesiątych kupiłem zestaw Kleopatry (tuner i wzmacniacz). Miałem go aż do początku lat dziewięćdziesiątych, a może i dłużej. W 1980 roku, mieszkając na osiedlu Paderewskiego, po raz pierwszy usłyszałem Włodzimierza Wysockiego i zaraz uwieczniłem na szpuli. Wcześniej nic o nim nie wiedziałem ani go nie słyszałem. Nadszedł 1983 rok. Pojawiły się duże, ciężkie magnetofony Aria. Można było na nich odtwarzać większe taśmy szpulowe. Kupiłem nawet w Niemczech kilka od znanych producentów (BASF i AGFA). Dalej jednak *gros* mojego zbioru stanowiły „stilonowskie", ponieważ były znacznie tańsze. Powoli na rynku muzycznym zaczęły pojawiać się kasety magnetofonowe. O nich w następnej części.

Dzisiaj jeść i pić wszystkiego się odechciewa. Tak nam obrzydzają życie fundamentaliści z ochrony zdrowia. Z czegoś, co powinno być przyjemnością, czynią nieprzyjemność. Zabraniają, straszą, nakazują, zakazują, czyli przeszkadzają innym w spożywaniu co smaczniejszych kąsków. Kiedy ich tylu nie było, człowiek, siedząc, czy nawet stojąc przy jedzeniu, był zadowolony i uśmiechnięty. Teraz trzęsie się ze strachu, czy aby nie zjadł zbyt dużo mikroplastiku i tym podobnych szkodzących mu związków chemicznych, o ołowiu, rtęci i całej już gamie różnych „E" (liczba ich niejednego najzwyczajniej poraża) nie wspominając. W końcu po posiłku, jak sobie pomyśli, co mógł zjeść, wpada w apatię, niektórym na płacz się zbiera, inni się załamują, a ci lżej dotknięci myślami o tym, co skonsumowali i co im grozi, popadają w melancholię. Najgorzej, że ci najmniej odporni, stresując się niemiłosiernie, martwiąc się o swoje zdrowie, zalewają robaka, czym się da. Są w końcu tak przygnębieni, że lądują w szpitalu. Co wy, medycy i dietetycy, wyrabiacie? Czyżby wam o takie chronienie zdrowia przede wszystkim przyszłych pokoleń chodziło? Widzę jednak, stojąc przy kasach różnych marketów, że młodzież nic sobie z tych obostrzeń nie robi.

Napisał latem 2025 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak